

Z taniej gliny czy z surowców importowanych?

Na podkonińskich polach — jak grzyby po deszczu — wyrastają potężne obiekty huty aluminium. Już nasza polska „jedynaczka” (dająca około 50 tysięcy ton aluminium rocznie) — huta w Skawinie imponuje swym ogromem, a konińska — będzie dwa razy większa. Jej produkcja pozwoli nam wyprzedzić w produkcji aluminium na głowę mieszkańca Japonii i Włochy, pozwoli zrównać się z Anglią i Czechosłowacją.

Nie mieliśmy przed wojną własnej produkcji aluminium. Potrzeby lilipucięcego przemysłu lotniczego — bo ten był wówczas głównym „konsumentem” aluminium — zaspokajaliśmy importem. Po wojnie zaczęliśmy więc od zera. Dzięki zbudowaniu w roku 1954 huty w Skawinie, z naszą produkcją 1,6 kg aluminium na głowę mieszkańca, zajęliśmy 15 miejsce w świecie. Huta w Koninie, „wypchnie” nas na 10, może nawet na 9 miejsce w świecie.

A trzeba pamiętać, iż wielkość produkcji i zużycia aluminium, stały się ostatnio, obok tworzyw sztucznych, jednymi z głównych mierników nowoczesności przemysłu. Duża produkcja i konsumpcja aluminium pozwala bowiem nadać za światowym kursem na miniaturyzację wyrobów, szczególnie radio i elektro-technicznych; pozwala na obniżenie wagi maszyn, silników i sprzętu transportowego; na unowocześnianie budownictwa itp. Aluminium w coraz większym zakresie wypiera bowiem z przemysłu stal.

Budowana w Koninie huta aluminium w połączeniu z bogactwem energii elektrycznej i bliskością złóż miedzi (Głogów — Lubin) stwarza także ciekawe możliwości dla dalszego rozwoju przemysłu w Wielkopolsce. Patrząc bowiem na mapę i mierząc odległości dzielące te dwa zagłębia: energo-aluminiowy Konina i miedziowy Głogów, można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć miejsca, w których mogą powstać fabryki „stapiające” ze sobą miedź i aluminium.

Weźmy na przykład leżący w połowie drogi między aluminium i miedzią — Rawicz. Ze swoim niezłym zapleczem komunalno-kulturalnym i kadrowym, predestynowany jest do przyjęcia dużej odlewni stopów miedziowo-aluminiowych, lub równie dużej fabryki deficytowych w kraju kabli. Jeśli już będzie odlewnia i będą kable, to Ostrzeszów, Kalisz i Ostrów mogłyby zaproponować dalsze ich przetwórstwo.

Niedaleko huty aluminium rodzi się kombinat chemiczny w Kłodawie, który między innymi, ma wydzielać magnez z soli potasowych. Ten rzadki metal jest nieocenionym składnikiem stopów aluminiowo-miedziowych, nadających się do kucia, walcowania bądź odlewania. I znowu: energia elektryczna jest na miejscu w nadmiarze; jakaś wspaniała okazja do zlokalizowania w pobliżu przetwórstwa magnezu i aluminium na gotowe wyroby np: korpusów silników

Zmian w czasie nie wziąłem pod uwagę. Gdy odlatywałem po południu z Moskwy, spodziewałem się znaleźć w Taszkencie wczesnym wieczorem (3,5 godziny lotu — „Ilem-18”, lecącym z szybkością 800 km na godzinę). Tymczasem po dwóch godzinach podróży, zerknąwszy przypadkiem w dół, zobaczyłem przedziwne zjawisko: — ogromne kumulusy mocno podświetlone słońcem, wyrastały — niby góry lodowe z morskiej otchłani — z mroków nocy, zalegającej już ziemi. Na lotnisku w Taszkencie, po przylocie, była 11 w nocy, czasu miejscowego. — Różnica między Warszawą a Taszkentem wynosi więc 4 godziny. Przez kilka dni pobytu w Uzbekistanie, nie potrafiłem się do tej zmiany przyzwyczaić. Gdy oni tam o ósmej rano rozpoczęli pracę, była to dla mnie czwarta rano. Kiedy zaś oni gdzieś o jedenastej kładli się spać — miasto zamierało, byłem w pełni siły, rześki i wypoczęty, jakże bowiem można było położyć do łóżka o siódmej... czasu polskiego...

Zmiany w klimacie przewidziałem. I nie zawiodłem się. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziłem że zdziwieniem, że skórzany pasek, do tąd koloru jasno brązowego, zrobił się czarny. Jasny kolor zachował jedynie skrawek paska, nieprzylegający do skóry. Ależ tak! Pasek po prostu nasiąkł potem, był kompletnie mokry. W hotelu — komfortowym i nowoczesnym — pod eleganckim przykryciem na łóżku, znalazłem drugie prześcieradło, służące do okrycia podczas snu. Ale i ono nie jest potrzebne.

Oto miara odległości, miara zmian, które zaskakują przybyśza z Europy środkowej. No cóż, nie w końcu dziwnego, przecież kilkadziesiąt kilometrów od Uzbekistanu znajdują się już granice z Chinami, Indiami, Pakistanem i Afganistanem. Toż to Centralna Azja. Z tych pierwszych, naskórkowych wrażeń pozostają także na długo w pamięci Uzbeki, śniadzi, czarnowłosi, chodzący na co dzień w swych narodowych ubiorach. Strój żeński składa się z szerokiej i długiej, niekiedy do kostek, jedwabnej sukni, przeważnie jasnozielonej, lub też zielonej z wkomponowanymi innymi, również

samochodowych, łoków do nich, różnej aparatury chemicznej, folii aluminiowej, proszku do wyrobu srebrnej farby itd. Możliwości jest mnóstwo; tyle, ile zastosowań ma aluminium we współczesnej technice.

Huta w Koninie ma ruszyć już za niecałe dwa lata. Warto więc — wydaje się — uwzględnić jej produkcję w perspektywicznych kierunkach rozwoju wielkopolskiego przemysłu.

Z powstaniem huty łączy się jednak i inne sprawy ogólniejszej natury, na które w przedzjazdowej dyskusji zwrócił uwagę dyrektor Poznańskich Zakładów Nawozów Fosforowych w Luboniu — Zenon Szulc.

Chodzi o surowce do produkcji aluminium: podstawowe — boksyt, bądź czysty już tlenek glinu, i pomocnicze — kryolit, związki fluoru i inne. Huta w Skawinie pracuje na surowcach importowanych, co znacznie obciąża nasz bilans handlowy i mocno uzależnia od dostaw zagranicznych. Huta w Koninie, według założeń planu, miała pracować na surowcach krajowych — na tlenku glinu „wypłukiwanym” z warstw gliny zalegającej na węglu brunatnym i przy jego odkrywaniu wywołanej na hałdy. Metodę tego „wypłukiwania”, podobno rewelacyjnie prostą

i tanią, opracował zespół prof. S. Bretsznajdera z Instytutu Chemii Ogólnej w Warszawie przy współpracy Laboratorium Zakładów Fosforowych w Luboniu.

Lecz jeśli konińska huta ma pracować na tlenku glinu krajowej produkcji, to logicznie biorąc, wytwórnia tego tlenku powinna być zbudowana co najmniej w tym samym czasie co huta. Tymczasem huta rośnie w oczach, za dwa lata ma dać pierwszy wytop, a zapowiadanej wytwórni tlenku glinu obok huty — dla „wypłukiwania” polskiej gliny, lub węgierskiego boksytu — nawet nie rozpoczęto jeszcze budować. Już dzisiaj widać więc wyraźnie, iż konińska huta, przynajmniej w pierwszych latach po uruchomieniu, będzie musiała także korzystać z surowca importowanego. Zniekształci to poważnie rachunek ekonomiczny produkcji aluminium i zamiast odciażyć — dodatkowo obciąży handel zagraniczny. Stąd zrozumiały niepokój ludzi, którzy interesują się losami polskiego aluminium. Nie znają bowiem motywów powodujących opóźnienie budowy wytwórni tlenku glinu. Być może, są one uzasadnione! W takim razie trzeba o tym ludziom powiedzieć.

Dyrektor Szulc twierdzi, iż przy minimalnych nakładach inwestycyjnych w Luboniu, budująca się tam duża fabryka kwasu siarkowego, może przejąć na siebie obowiązek zaopatrywania huty w kryolit i związki fluoru. Część importu mogłaby więc odpadnąć. Pozostaje jednak sprawa podstawowa: tlenek glinu. I na tym polu Lubon też może dużo zrobić, jeśli w porę będzie wiedzieć, czym będzie mógł pomóc konińskiej hucie.

Mieczysław Skąpski

Wrota Wschodu

Od specjalnego wysłannika „Głosu” do Centralnej Azji

bardzo jaskrawymi kolorami. Spod sukni wyglądają takiegoż koloru hajdawery, związane przy kostce bądź też wpuszczone w miękkie czarne buty z cholewami. Na głowie barwna chustka, spod której często spływają bardzo długie warokocze. Mężczyźni noszą chałaty po kolana, białe lub czarne, nigdy w innym kolorze, na głowie płaska, okrągła i kolorowa czapeczka, zsunięta do tyłu, na nogach buty z cholewami. Pod czapeczką przeważnie głowa wygolona „na pałę”. Męski strój narodowy w pełni noszą jednak już tylko starsi Uzbeki, młodsi na ogół chodzą w normalnych spodniach, tylko koszulę wyrzucają na wierzch, no i ta obowiązkowa czapeczka. Kobiety natomiast zachowują narodową modę od najmłodszej do najstarszej.

Potem zwraca uwagę, że to wielkie, przeszło milionowe miasto, pięte w ZSRR pod względem liczby mieszkańców, składa się przeważnie z parterowych domków! Tajemnica się wyjaśnia, gdy się dowiaduje, że trafiają się tu wstrząsy ziemi. Mały domek najlepiej jest może przetrwać, większy łatwiej się rozsypuje, grzebiąc w gruzach swoich mieszkańców. Ale sprawa to niesamowite wrażenie: długie kilometry ulic i wszystko parterowe, i jakieś podobne do siebie, dom w dom z żółtej cegły, odgródzony od ulicy wysokim na chłopą murem z takiejż cegły. Parę lat temu wynaleziono wszakże jakieś spoiwo, które, podobno zabezpiecza przed trzęsieniem ziemi i zaczęto wznosić gmachy, 2- i 3-piętrowe. Jest ich już w centrum sporo. Ale trzeba dopiero wyjechać poza granicę starego grodu, by zobaczyć, co się tam obecnie buduje. Jeszcze kilka lat i przybysz, który zapozna się z przedtem z historią miasta, nie zechce uwierzyć, że to właśnie jest Taszkient.

Historia bowiem mówi, że Taszkient jest jednym z najstarszych ba-



Alojzy Maniak

„Praw naszych deptać niechaj się nie waży...”

W 45 rocznicę pierwszego śląskiego powstania

Czasy były niespokojne, trudne i ciężkie — ale pełne nadziei. Rok 1919.

W dalekim Paryżu obradowała konferencja pokojowa, na której decyzje czekano na Śląsku z otuchą. Delegacja polska przedstawiła na niej swoje postulaty co do Śląska: przyłączenie do Polski „Górnośląska i trzech powiatów Śląska Średniego” (powiatów milickiego, namysłowskiego i sycowskiego). Stanowczo przeciwstawiał się polskim postulatom ówczesny premier Wielkiej Brytanii — Lloyd George, który wystąpił z ostrą krytyką tych propozycji. Jak najbardziej przeciwny był rzecz jasna rząd niemiecki, który rozwinął szeroką akcję dyplomatyczną na rzecz pozostawienia całego Śląska przy Rzeszy. Decyzja przeprowadzenia plebiscytu w warunkach terroru niemieckiego na Śląsku była jak najbardziej tendencyjna.

Polska przegrała w Paryżu. Konferencja nie spełniła nadziei śląskiego ludu.

Może inaczej wypadłyby decyzje i postanowienia traktatu wersalskiego, gdyby słuszne prawa Polaków poparte były akcją zbrojną na samym Śląsku, gdyby sam lud śląski zmanifestował swą wolę.

Tego argumentu zabrakło przy konferencyjnym stole. Dlaczego?

Rządy na Śląsku sprawował wówczas mianowany przez Berlin, otwarcie wrogi Polakom — Otto Hoersing. Z jego wrocławskiej siedziby komisarza rządowego na Śląsku wychodziły zarządzenia, mające na celu bezwzględne zwalczanie ruchu polskiego i rewolucyjnego ruchu robotniczego. Już w styczniu ogłosił on na Śląsku stan oblężenia i wprowadził sady wojenne — „dla przytłumienia rewolucyjnego nastroju polskiej ludności górnośląskiej”. Na umęczoną wiekową niewolą Ziemi Śląskiej panował terror, bezkarnie hulały po niej niemieckie bojówki, siła strach niemieckiej policji i niemieckie organizacje wojskowe (Grenzschutz, Heimatschutz i inne). Wszyscy oni korzystali z poparcia miejscowych kapitalistów i niemieckich obszarników.

Krwawe rządy Hoersinga wzbudziły umysły ludności polskiej Śląska. Podziemne polskie organizacje wojskowe szykowały się do powstania. Miało ono wybuchnąć jeszcze w kwietniu. Niestety, kierownictwo ruchu polskiego głuche na żądania mas dopuściło się poważnych zaniedbań. Zaważyło to na dalszym biegu wypadków.

Ówczesni oficjalni kierownicy ruchu polskiego na Śląsku liczyli, a w szczególności Wojciech Korfanty, na sprawiedliwą decyzję traktatu wersalskiego. Uważali, że więcej dla sprawy polskiej na Górnym Śląsku można zrobić akcją dyplomatyczną niż akcją zbrojną. Ta polityka przyniosła porażkę. Na Śląsku narastała rewolucyjna fala. 1 maja w wielu miastach, osiedlach i wsiach odbywały się wielkie manifestacje. Wzięło w nich udział przeszło 200 tysięcy osób. Władze niemieckie, przerażone patriotyczną postawą polskiej ludności Śląska, wzmożyły terror. Zapewnili się więzienia i obozy. Wielu śląskich patriotów musiało szukać schronienia za kordonem granicznym, w oswobodzonej Polsce.

Wobec niekorzystnych wiadomości z Paryża i wzrastającej akcji represyjnej ze strony władz niemieckich — myśl, że tylko czyn zbrojny przyniesie upragnioną wolność i przywróci Śląsk Polsce, stawała się coraz powszechniejsza. 18 czerwca na zebraniu komendantów organizacji wojskowych zapadła decyzja: powstanie wybuchnie w nocy z 22

na 23 czerwca. I tym jednak razem udało się Korfantemu zapobiec akcji zbrojnej. Tylko w trzech powiatach, do których odpowiednie rozkazy odwoławcze przyszły za późno, a mianowicie w kozielskim, kluczborskim i oleskim doszło do walki zbrojnej z Niemcami. Jej skutkiem: okrutna masakra bohaterów powstańców.

Sytuacja zaczęła się zaostrzać coraz bardziej. Coraz trudniej było już uciszać groźną rewolucyjną falę. Wreszcie... 16 sierpnia wydano rozkaz komendantom POW w Pszczynie i Rybniku, by w obu tych powiatach rozpocząć powstanie w nocy z 16 na 17 sierpnia. Wybuchło powstanie — pierwsze powstanie śląskie. Na jego czele stanął Alfons Zgrzebnik.

W pierwszym dniu powstania objęło wschodnią część Górnego Śląska. Powstańcy zanotowali tu szereg sukcesów. W następnym dniu działalność powstańcza rozszerzyła się na okręg przemysłowy. Powstańcy znaleźli oparcie w strajkujących robotnikach, z których wiele wstąpiło w powstańcze szeregi. Czynniki wspomagali ich komuniści, którzy wystąpili przeciw niemieckiej administracji, wojsku i policji. Oddziały powstańcze zajęły wiele miejscowości, hut, kopalń i fabryk. Już 18 sierpnia Niemcy stracili w znacznym stopniu kontrolę nad śląskim okręgiem przemysłowym. Przeraził tym, ścigający posiłki. Władze wojskowe we Wrocławiu wysłały na Śląsk jednostki 11 dywizji piechoty. Powstańcy stoczyli w okręgu przemysłowym krwawe i zacięte boje. Po 10-dniowych nierównych i żartach walkach powstanie upadło. Bohaterscy śląscy bojownicy zmuszeni byli szukać schronienia poza graniczym kordonem.

Powstanie stłumiono. Walka była bowiem nierówna. Z bohaterstwem powstańców nie szła w parze sprawna organizacja. Brak było środków do walki, przede wszystkim uzbrojenia. Wreszcie — upadek powstania, przyspieszyło nieudolne kierownictwo.

Kilka słów o stosunku rządu polskiego do pierwszego powstania śląskiego. Zarówno ówczesny premier — Ignacy Paderewski, jak i naczelnik państwa — Józef Piłsudski pozostawali głusi na głosy, żądania i petycje licznych delegacji ze Śląska. Odmawiali powstańcom pomocy. Rząd warszawski nazywał oficjalnie powstanie „provokacją niemiecką” oraz „akcją bolszewicką”. Nic dziwnego. Pochłonięty był wtedy „marszem na wschód” przeciw młodej Republice Rad.

Mimo wszystko pierwsze powstanie śląskie, bohaterska acz rozpaczliwa walka śląskich robotników, rzuciła posiew na przyszłość. Podniosła ducha w ludzie śląskim, spotęgowała jego patriotyzm. Znalazło to swój wyraz m. in. w wyborach komunalnych (9. XI. 1919 r.), które zakończyły się sukcesem polskim.

A powstańcy? Na mocy porozumienia między rządem polskim a rządem niemieckim wrócili z kordonu na rodzinny Śląsk, bez obawy represji karnych. Czekali na nich nie tylko rodziny, bliscy. Czekali na nich dalsza jeszcze walka, bo jak śpiewali:

Nie złożym broni, choćby stu
mocarzy
przeciw powstańcom swój wydało
sąd.
Praw naszych deptać niechaj się
nie waży
żaden parlament, żaden sejm ni
rząd.

Droga Śląska ku Polsce była jednak jeszcze daleka.

Dokończenie na str. 2

Nowe sztuki polskich autorów

Repertuar polskich sztuk wzbogacił się ostatnio o kilka nowych pozycji.

Ludwik H. Morstin napisał komedię bohaterską (jak to określił sam autor) pt. „Wybrańcy pod Wiedniem”. Jest to barwne widowisko, które rozpoczyna się pod Krakowem w obozie armii organizowanej na odsiecz wiedeńską, a kończy w namiocie króla Jana III. Bohaterem sztuki jest chłopskie wojsko tzw. piechota wybranecka.

Akcja nowej sztuki Jerzego

Przędzieckiego „Nasz przyjaciel Kain” wybiega w przyszłość — w lata 2-tysięczne. Jest to satyra na ciągoty militarystyczne w epoce, w której ludzkość nie prowadzi już wojen, a loty kosmiczne należą do spraw powszednich. „Wybór” — to tytuł nowej sztuki Jana Pawła Gawlika. Jej treść — to dzieje inteligenta, którego wydarzenia historyczne postawiły wobec konieczności wyboru racji politycznych. Rzecz zaczyna się u schyłku drugiej wojny światowej, a kończy współcześnie.

Andrzej Hausbrandt jest autorem komedii „Alfabet czyli kariera pana Omikrona”, poruszającej w formie groteski sprawę karierowiczostwa.

Joanna Kulmowa napisała komedię ludową „Breweryje czarotwóskie czyli diabeł diabła nie kumoter”, której akcja toczy się w XV wieku na Kujawach nad Jeziorem Ślesieńskim.

Interesującą pozycją jest dokonana przez Władysława Krzemińskiego adaptacja sceniczną znanej powieści Tadeusza Brezy „Urząd”. (PAP)

Wrota Wschodu

Dokończenie ze str. 1

szereżych ulic, okraszonych sutą zielenią. Domy wszakże były ciągle parterowe. Stary gród zostawiono z całą jego katastrofalną bezplanową zabudową, ślepych domkami z gliny, wąskimi uliczkami, nad którymi prawie zawsze biały, gęsty pył zakrywał słońce. Tam ludzie nie mieli nawet wyobrażenia o wodociągach, kanalizacji czy elektryczności. Nocami miasto tonęło w nieprzebitych ciemnościach. Do dziś zachowały się jeszcze fragmenty tego najstarszego grodu, stopniowo wyburzane, stały się resztki i stawia na ich miejsce nowoczesne domy.

Ale i ten Taszkient z przełomu XIX i XX wieku pokryty jest gestowym nieprzyjemnym białym pyłem, mającym przedziwną zdolność podnoszenia się z ziemi tumanami przy najlżejszym nawet stąpnięciu. Leży go pełno nawet w samym centrum. Spowodowały go gigantyczne „wykopki” w całym mieście. Wszędzie bowiem zakłada się gazociągi prowadzące gaz ziemny z wielkich odkrytych w rejonie Buchary (tam teraz na pustyni Kawalerowicz kręci „Faraona”) i instaluje się gaz w mieszkaniach. Nowe osiedla oczywiście mają go już od początku. Byłem w takim nowym mieszkaniu i widziałem, jakie taki gaz ma ciśnienie. Pozazdrościć!

Te nowe osiedla to osobny rozdział w historii współczesnego Taszkientu. Tylko jedno z nich liczy już ponad 80 000 mieszkańców. Masowe

budownictwo mieszkaniowe rozpoczęło się zaledwie kilka lat temu, ale w jakim tempie! W latach 1960—1963 co dziesiąta rodzina znalazła się w nowym mieszkaniu. Wydano na ten cel 111 mln. rubli (nowych) — tyle, ile przez całe poprzednie dwudziestolecie. W całym mieście już do przeszło 100 000 mieszkań doprowadzono gaz z Buchary. A obecnie gdziekolwiek w Taszkencie spojrzeć, wszędzie się buduje, osiedla powstają metodami uprzemysłowionymi, z prefabrykowanych elementów, nad krajobrazem królują dźwigi. Ulice wytycza się szerokie, asfaltowe. W niebywałym tempie rośnie też przemysł. Wartość jego produkcji jest dziś w ciągu 3 dni taka jak przed rewolucją za cały rok. 450 fabryk daje trzecią część produkcji całej republiki.

Taszkienckie lotnisko nazywają „Wrotami Wschodu”. Około stu regularnych linii samolotowych wiąże stolicę Uzbekistanu z wieloma miastami ZSRR oraz stolicami wszystkich republik radzieckich. Stąd też odlatują samoloty do wielu miast Uzbekistanu w stałych kursach. Tylko potężne odrzutowce pasażerskie „TU-104” mają stąd 12 linii. Codziennie odlatuje samolot do Kabulu, stolicy Afganistanu. Przez Taszkient prowadzi droga samolotów linii Moskwa—Delhi oraz linii Moskwa—Delhi—Rangun—Dżakarta. W 1965 roku przelotowość lotniska taszkienckiego ma osiągnąć milion pasażerów rocznie. Już dziś w porcie lotniczym Taszkientu samoloty odprowadzają się co kilka minut. Prawdziwe „Wrota Wschodu”.

MIECZYSLAW SKĄPSKI

Ryszard Danecki

Spór o lata

Muskularny archeolog ściaga

zielone przykrycie traw,
czarną zaslonę pulchnej ziemi —
obnaża parę, trwającą w miłosnym uścisku tysiąc
i dwieście lat —

jego pierwsza myśl:

dotknął gabardynowego rewera,
gdzie wepnie odznaczenie Akademii Nauk!

O kochankowie

z kurhanów rozdeptanych zaginionego Caongradu,
jakże stary ten mężczyzna —

zapach świeżego siana błąka się w szczelinach
różowego dna wykopu.

Marsowe pole

Ziemi namarmurzona twarz —
w kamiennym rozchyleniu
miota się język znicza —
krzyk za granatową taflą nocy!

Oddzieleni od głosu —

stąpamy ostrożnie,
aby nie pękła przezroczysta ściana —

aby nie słyszeć krzyku nagłych wyznań:
umierający są szczerzy...

Szczelnym kloszem powietrza
starannie głuszemy nasze ciała.

Wiersze pochodzą z tomu pt. „Afrasiabe”, który ukaże się nakładem
Wydawnictwa Poznańskiego.

Książka jest niewielka, razem z obfitymi przypisami i bibliografią zajmuje 80 stronice w niemal kieszonkowym formacie. Napisana jest prostym, zwartym, jasnym językiem. Jej autor operuje dwoma tylko argumentami — prawem i faktem. Prawem i faktem ostatecznego charakteru granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej. Dodajmy jeszcze, że została wydana przez PWN w języku angielskim, więc jest przeznaczona przede wszystkim dla zagranicznego czytelnika. Jej tytuł brzmi: „The Polish-German Frontier”. Autorem jest wytrawny znawca prawa międzynarodowego, prof. Manfred Lachs.

Oto krótka metryczka tej pracy, którą chętnie polecilibyśmy wszystkim przyjaciółom, a także nieprzyjaciółom Polski. Prezentuje ona prawa i fakty, na których opiera się obecna polskość naszych ziem zachodnich.

Prof. Lachs dużo miejsca poświęca prawnym podstawom granicy na Odrze i Nysie. Cytuje dokumenty Poczdamu, rozliczne wypowiedzi Roosevelta, Churchilla, de Gaulle'a, Edena i innych działaczy politycznych, którzy w imieniu swych krajów — członków antyhitlerowskiej koalicji, brali udział w decyzjach, dotyczących powojennych granic Niemiec. Decyzja poczdamska ukazana jest w historycznym i logicznym ciągu — na tle, i jako konsekwencja poprzednich porozumień alianckich (pierwsze z nich podejmowane były jeszcze w latach 1942 i 43) oraz jako przesłanka do konkretnych kroków, które nastąpiły potem, tj. do przesiedlenia ludności i wytyczenia nowej granicy. Prof. Lachs analizuje wszystkie prawne aspekty Poczdamu i innych decyzji alianckich, przeprowadza analogie prawne i historyczne, udowadnia tendencyjność i oszukiwaczy charakter interpretacji, wymyślanych przez bo-

*) Manfred Lachs „The Polish-German Frontier”, PWN, Warszawa, 1964.

Eugeniusz Paukšta

Z polskich militariów

Z obfitego pokłosia MON-owskich wysiłków nad wzbogaceniem literatury o tematykę militarną wysokiej klasy, chciałbym dziś podzielić się refleksjami z lektury pozycji wyszłych spod pióra polskich autorów.

W pięknej serii jubileuszowej MON-u otrzymaliśmy tom opowiadań Władysława Machajka „Wypiekniata w lesie”, związanych ze szczególnie bliską temu autorowi tematyką partyzancką. Jak zawsze u Machajka, pisarstwo jego jest pisarstwem wysoce zaangażowanym ideowo, i jak zawsze, problemy wsi z różnorodnej tonacji wysuwają się na czoło. Ale przy tym wiele tu zarazem szczerze, żarliwej liryki, jak dużo intensywnego odczuwania przyrody, która teraz nie tylko cieszy, ale i chroni, dopomaga w twardej walce. W jednym, męskim piśmie Machajka tom ten na pewno należy do najciekawszych i najsilniejszych artystycznie.

Otrzymałmy też nową książkę Marii Kann, zasłużonej działaczki okupacyjnej, uroczą w zniewalającej bezpośredniości swego pióra. Tym razem są to wspomnienia wojenne autorki, opatrzone dokumentacją fotograficzną, mnóstwem szczegółów i nazwisk. Zarazem jednak jest to i czystej wody literatura, ciepła i bardzo serdeczna w swym hu-

Ryszard Frelek

Prawo i fakt

NAD KSIĄŻKĄ MANFREDA LACHSA PT. „THE POLISH-GERMAN FRONTIER”

skich specjalistów od przekraczania prawa i faktów, w imię niezystych celów politycznych. A przy tym podkreśla, że aktualnie jest to granica między Polską a suwerenną Niemiecką Republiką Demokratyczną, która, w oparciu o Poczdam wspólnie z Polską, tę granicę ostatecznie wytyczyła i za nienaruszalną uznała.

Polskie prawo do granicy na Odrze i Nysie jest prawem wcielonym w życie. Stało się faktem. I jeśli nawet ktoś w NRF, a niestety, czyni to oficjalnie rząd Federalnej Republiki — marzy o zmianie prawa, czy próbach innego jego wyinterpretowania, to nie jest i nigdy nie będzie w stanie zmienić faktu polskiej obecności na tych ziemiach. Przed drugą wojną światową, którą przecież nie Polska wywołała na ziemiach tych mieszkało 7.200 tysięcy Niemców i około 1.500 tysięcy Polaków. Dziś mieszka na nich ponad 8 milionów Polaków, przy czym dla olbrzymiej większości z nich jest to ziemia, na której się urodzili, wychowali, dojrzeli. Ich kraj rodzinny we wszystkich znaczeniach tego słowa. Prof. Lachs przytacza w wielkim skrócie, lecz w sposób dobitny, rozliczne fakty integracji, rozwoju i znaczenia tych ziem w Polsce.

Prawo i fakt złożyły się razem na proces ukształtowania nienaruszalnej granicy polsko-niemieckiej. Cały proces „tworzenia granicy” został zamknięty.

„Przeszedł on przez wszystkie niezbędne stadia: — podkreśla prof. Lachs — od wstępnych negocjacji poprzez instrumenty determinujące wolę wprowadzenia granicy w życie, do fizycznego zajęcia, zasiedlenia i integracji terytorium oraz w

końcu do umieszczenia znaków granicznych wzdłuż linii... Poprzez tę granicę Polska rozwinęła przyjazne i stale roszszerzające się stosunki ze swym sąsiadem z Zachodu. Granica została zagwarantowana przez najbliższych sojuszników Polski. Słowem: nie podlega negocjacji z nikim i przy żadnym stole konferencyjnym.”

Prof. Lachs wskazuje na brak logiki, a także krótkowzroczność tych rządów zachodnich, które nie poszły w ślady Francji i powstrzymują się jeszcze od uznania ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie. Wskazuje również na niebezpieczne dla pokoju pretensje rządu NRF, który stara się wykorzystać tę „wstrzemięźliwość” swych sojuszników. Oczywiście, „wstrzemięźliwość” ta nie zmienia ani prawa, ani faktu polskiej granicy.

Mała książeczka zawiera wielki ładunek argumentów i politycznej logiki, które zawsze są przydatne i pożyteczne, chociaż sam autor podkreśla, że w 20 lat po wyznaczeniu i wprowadzeniu w życie tej granicy, powinna ona już przestać być jakąkolwiek kwestią dla polityków i prawników, gdyby nie to, że rząd NRF nie zaprzestaje swej kampanii, a jego zachodni sojusznicy nie chcą jej przeciąć, przez chociażby przypomnienie sobie, co sami dwadzieścia lat temu podpisywali i mówili. Oczywiście, zawsze jest tak, że jeśli ktoś próbuje przymykać oczy na fakty, to gorzej jest nie dla faktów, lecz dla tego, kto przymyka oczy. Taki też jest sens tej dobrej, świetnie udokumentowanej, z precyzją napisanej książki.

manistycznym widzeniu świata. Od dramatu Warszawy w 1939 roku aż po Powstanie Warszawskie autorka ukazuje ciężkie lata stolicy w oparciu o własne doświadczenia, przy tym znamienne, osoba autorki zawsze dyskretnie odpływa w cień, eksponowane są inne postaci. Tytuł utworu jest i przekorny i zarazem prawdziwy — „Nieznane niebo”.

Pragnę też zalecić czytelnikom poemat Jerzego Zagórskiego „Pan-cerni”. Jest to epicki poemat historyczny osnuty na tle głośnej bitwy pod Studziankami, tło, bohaterowie są najbardziej autentyczni. I autentyczna, chociaż nowa poprzez poetyckie wcielenie, jest aura tych wydarzeń, jakieś ich oryginalne, własne widzenie. Wydaje mi się, że w poezji naszej najpełniejszy to artystycznie obraz pewnego fragmentu zmagających wojennych niedawnego czasu.

Ze wznowień należy zanotować kolejne, VII już wydanie epopei wrześniowej Wojciecha Żukrowskiego „Dni kłeski”, piękne świadectwo walki żołnierza polskiego i ludności cywilnej w pamiętnych dniach narastającego tragizmu dramatu.

Ze wspomnień warto zanotować jeszcze przynoszące wiele nowych, nieznanych szczegółów, „Pierwsze dni” Bronisława Belczewskiego. Wybitny działacz Kielecczyzny w zapiskach swoich ukazuje moment przełomu, gdy kończy się okupacja, a na wyzwolonych terenach powstawać zaczyna pierwsze ośrodki władzy, szkoły, instytucje publiczne. Autor pisze prosto, skromnie, ale ogólny obraz nabiera może właśnie przez to samo cech wielkiego heroizmu.

Dziś już często nie pamiętamy w szczegółach tamtego czasu, nie zdajemy sobie sprawy, jak wielkie były męstwo i ofiarności ludzka. Praca Belczewskiego niejedno odświeża w pamięci.

I jeszcze dwie prace historyczne. A więc przede wszystkim praca Andrzeja Feliksa Grabskiego „Bolesław Chrobry”, w niebanalny sposób raz jeszcze próbująca ukazać postać głośnego Piasta na tle ówczesnych dziejów polityczno-wojskowych. Piszę raz jeszcze, aby podkreślić, jak ciele wiele spraw w historii czeka na odkrycie. W pracy Grabskiego znajdujemy nie tylko wiele nowych, zapoznawanych dotychczas szczegółów, ale często też oryginalny, niebanalny wykład i komentarz, polemiczny w stosunku do różnych dotychczasowych osądów, a bardzo niekiedy przekonujący. Przy tym praca pisana jest, mimo zastosowania warsztatu naukowego, w sposób bardzo przystępny.

W inny okres historii wprowadza nas Karol Koźmiński w opowieści „Fiszerek”, której bohaterem jest generał Stanisław Fiszer, wybitny oficer Kościuszkowski i Napoleona, autor niezwykle ciekawego pamiętnika ze swojego okresu. Koźmiński skreślił w sposób niebanalny jego sylwetkę, właściwie zapoznana pośród innych wybitnych osobistości swojego czasu. Jednocześnie pod piórem autora sunie słownie ożywa czas przełomu 18 i 19 wieku.

Z książką na ty



TAK POLSKI, I TAK KLASOWY
JEST TEN ŻYCIORYS

„...Ci, którzy Go znali, nie uwolnią się od niepokojów, że dokumenty, daty, fotografie ledwo wspierać będą wiedzę o Człowieku, który z Dąbrowy Górniczej, z osad górniczych Koszelewa i Ksawery, z podziemia kopalni, z cienia murów, hut i fabryk, rozpoczął swoją drogę życiową, spokojnie, zdecydowanie, mocno, z tym głębokim przekonaniem, że idzie tropami i śladami tych, co byli już tu dawniej, wcześniej i On również nieprzerwanie trwać będzie w tym dążeniu do celu. Dlatego tak bardzo polski i tak bardzo klasowy jest ten życiorys.”

Tak pisze o Aleksandrze Zawadzkiemu na łamach „Polityki” Stanisław Wygodzki, który znał Zmarłego osobście już w latach działalności w komunistycznym związku młodzieży. „Polityka” publikuje ponadto fragmenty dokumentów z procesu przeciwko A. Zawadzkiemu i innym komunistom, którzy władze międzywojennej Polski przeprowadziły w roku 1938. Także inne czasopisma poświęcają materiały i wspomnienia pamięci Aleksandra Zawadzkiego.

WANDA WASILEWSKA

To tytuł artykułu Janiny Preger, która na łamach

mach „Kultury” tak pisze o twórczości niedawno zmarłego pisarce:

„Ten dramat, ten walki — to jest barwa pisarstwa Wasilewskiego. Twórczość jej powstała w momencie wielkiego napięcia walki klasowej, rozdzierającej społeczeństwo polskie. Panoszące się klasy posiadające i proletariaty, chłopcy, często bez możliwości egzystencji w warunkach ludzkich: bezrobocie, a dla niepodległych wzięcie i obóz. Ostrość tego konfliktu, rozdzierającego społeczeństwo, wyrażała cała twórczość Wasilewskiego, zdecydowana w rewolucyjnym buncie.”

O PLANOWANIU PERSPEKTYWICZNYM

Interesujący artykuł dyskusyjny Jana Macieja zamieszcza „Życie Gospodarcze”. Podstawowa teza artykułu sprowadza się do stwierdzenia: „Kryterium w planie perspektywicznym wynikać powinno z podstawowej zasady socjalizmu o maksymalnym zaspokajaniu stałe rosnących potrzeb społeczeństwa. Osiągnąć to można przez taki podział dochodu narodowego na konsumpcję bieżącą i przyszłą, by przy najlżejszym wyborze techniki wytwarzania, optymalizacji planów wytwarzania, ustalonej na podstawie badania struktury spożycia i wielkości artykułów konsumpcyjnych, by osiągnąć w dostatecznie długim okresie czasu (40 lat — przyp. Lekt.), maksimum funduszu spożycia.”

BEZ PROHIBICJI...

Takim artykułem zaopatrzyła „Polityka” rozmowę z przewodniczącym Głównego Komitetu Przeciwalkoholowego, wiceministrem zdrowia i opieki społecznej, dr. med. Janem Rutkiewiczem. Oto kilka podstawowych stwierdzeń: w porównaniu z okresem przedwojennym, spożycie napojów alkoholowych wzrosło u nas przeszło dwukrotnie, ale w spożyciu na głowę dorosłego

go mieszkańca (6 litrów), wyprzedza nas co najmniej sześć krajów; niepokojący jest fakt, że młodzież męska w wieku 18—20 lat, nie ustępuje dorosłym pod względem ilości spożycia alkoholu; półtora miliona osób często nadużywa alkoholu w dużych ilościach; liczbę nałogowych alkoholików szacuje się u nas na co najmniej 300.000.

Stąd właśnie wynikała zadania dla komitetów przeciwalkoholowych, o czym dr J. Rutkiewicz tak m. in. mówi:

„Walkę z alkoholizmem ujmujemy realistycznie, wytyczną naszą działalnością nie jest prohibicja, ani abstynencja, walczymy przede wszystkim o zmianę obyczajów picia, staramy się zwalczać zakorzenione u nas od tak dawna zwyczaje częstego nadużywania alkoholu i upijania się. Kluczowym poza tym szczególnie nacisk na szerzenie zrozumienia, że osobników młodocianych powinna obowiązywać całkowita abstynencja.”

Do celu tego może doprowadzić — zdaniem rozmówcy — zwiększenie produkcji napojów bezaalkoholowych, zwiększenie bezaalkoholowych zakładów gastronomicznych, ograniczenie liczby punktów detalicznej sprzedaży alkoholu oraz stała walka z naruszeniem ustawy przeciwalkoholowej.

Podobny temat (art. Ryszarda Turczynowicza pt. „O nałóg trzeźwości”), porusza „Tygodnik Kulturalny”, zwracając uwagę na zadania szkoły, nauczyciela i wychowawcy w walce z alkoholizmem wśród młodzieży szkolnej.

TELEWIZJA W SZKOLE

Tematowi temu „Głos Nauczycielski” poświęca dwa artykuły, Edard Fleming („Czy pomaga?”) stwierdza na podstawie przeprowadzonych badań, iż uczniowie często spędzają więcej godzin na oglądaniu telewizji niż na lekcjach w szkole.

Niepokojące jest, że blisko połowa rodziców nie słaia dzieciom i młodzieży żadnych ograniczeń w oglądaniu telewizji. W rezultacie dzieci oglądają audycje dla nich nie przeznaczone, pospiesznie odrabiają lekcje, mało przebywają na powietrzu, śpią krócej niż powinny. Korzyści z oglądania telewizji wynoszą te dzieci, które systematycznie odbierają pewne programy: oświatowe i także rozrywkowe, których elementy kształtujące wstępują jako produkt uboczny. Wniosek autora: „Wobec tak potężnego środka oddziaływania, jakim jest telewizja, dziecko nie może być pozostawione samo sobie.”

Ryszard Więckowski formułuje uwagi krytyczne pod adresem audycji szkolnych, które — jak stwierdza w oparciu o przykłady — budzą poważne zastrzeżenia pod względem dydaktycznym.

„Prawo i Życie” zastanawia się nad przyczynami przestępstw przeciwko mieniu społecznemu (artykuł „Kontrola w gospodarce społecznej”), „Tygodnik Kulturalny”, w artykule „Korepetycje za państwowe pieniądze”, porusza problem młodzieży, która podejmuje naukę w jakiegokolwiek szkole, by po roku ją przerwać i ubiegać się o przyjęcie do innej — wymarzonej szkoły; na łamach „Kultury” w dyskusji nt. losów opery, zabiera głos Robert Satkowski; „Polityka” aż trzy pozycje poświęca amerykańskiej polityce w Wietnamie; „Walka Młodych” (artykuł „Nelson się kłania”), proponuje zorganizowanie lokalnych nocnych dla młodzieży; „Szpilki” drukują takie oto „Zmyślenie”, „Wiesława Brudzińskiego: „To nietaktowne, pytać o datę urodzenia kobiety i tzw. młodych twórców” oraz zamieszczają m. in. wiersz Włodzimierza Selsowskiego pt. „Polskie szkoły”.

LEKTOR